„Głos Narodu" ilustrowany.

NASZE GROBY.

»Ziemią krzyżów i mogił« nazwał wielki poeta całą Polskę, a Pius IX. proszącemu go o relikwię Polakowi kazał wziąć garść ziemi rodzinnej...

W Dzień Zaduszny, w dzień smutku i żałoby, gdy myśl zbolała idzie za najdroższymi i najbliższymi z rodziny, których śmierć nam zabrała, unoszą się skrzydła naszej tęsknoty także ku tym dalekim a przecie bliskim, nieznanym, a jednak drogim, zmarłym a żyjącym w duszy, którzy ziemię naszą czynią jednym wielkim relikwiarzem.

Piękny to zwyczaj, że na cmentarzach większych miast naszych szlachetna młódź stawia krzyż, poświęcony pamięci poległych w powstaniach narodowych i że krzyż ten staje się w dzień zaduszny punktem środkowym modłów, śpiewów, żaru patryotycznego. Piękny to i do naśladowania tam, gdzie jeszcze nie zaprowadzony zwyczaj. U żadnego narodu życie jednostkowe nie jest tak jak u nas ściśle związane z życiem narodowem; gdy opłakujemy tych, których niedawno straciliśmy, uczucie wiąże się z Tą, którą także włożono do trumny, a z piersi bucha tchnienie gorące, żar ożywczy, siła nieodparta, poręka zmartwychwstania...

Ta wędrówka na groby — to nasze »Dziady«...

Wywołujemy więc duchy nam święte — chwilę z nimi obcujemy.

A nigdzie uczucie nie może być tak żywem, jak w Krakowie i we Lwowie — chyba w Warszawie...

Gdy wieczorem nad cmentarzem wybucha łuna światła, widna o mile z daleka, gdy cicha i posępna siedziba zmarłych zaludnia się rojem nieprzebytym, a krzyże i pomniki oplatają girlandy kwiecia i lamp różnokolorowych — rozlega się z tysiąca młodych piersi śpiew choralny, śpiew błagalny: ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie...

Oplatają kwiaty, oplatają światła, oplatają serca krzyż, symbolizujący mękę i chwałę bolesną na-



Zaduszki na cmentarzu Krakowskim. — „Boże coś Polskę..."

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 2 listopada 1901 roku.



DR EDWIN PŁAŻEK
(Patrz artykuł).



SEWERYN ARZT
(Patrz artykuł).

rodu, i jemu, wylawszy żal nad grobem prywatnym, każdy hołd oddaje, hołd i łzę męczeństwu.

Potem pielgrzymka...

Więc we Lwowie zaraz na wstępie uderza pomnik Seweryna Goszczyńskiego, potężny, surowy, jak żywot tego, który pod nim spoczywa, beldwederczyka, wieszcza, emigranta, mistyka... a nie daleko odeń drugi pomnik, olbrzymi, śmiały, orli... bohatera ducha i czynu, jakich wiek ubiegły miał nie wielu...

Znasz Ordona, czy widzisz, gdzie jest?...
. . . .
Widzę go znowu — widzę rękę — błyskawicę,
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę
...Skoczył w dół, do lochów!
. . . .
Tu blask — dym — chwila cicho — i huk,
[jak stu gromów!

Opiewał go Mickiewicz, jako poszarpanego na strzępy w tem piekle żywem, a on żył... wojował długie lata... na ziemi włoskiej zdobył szlify pułkownik aż przed kilku lat, jak żył, tak zginął w aureoli...

Czem, czem my jesteśmy wobec bohaterskich tych postaci?

A obok nich i za nimi inni... księga dziejów i myśli, szereg nieskończony znanych i zasłużonych. Nie duża przestrzeń dzieli krzyż Alfreda Młockiego, starca, który wiek prawie cały przeżył w usługach ojczyzny, od grobu Artura Grottgera, którego geniusz zgasł tak młodo, grób J. N. Kamińskiego, Henryka Schmitta od Karola Szajnochy, jenerała Kruka od ks. Kalinki...

A w Krakowie potężny, jak kaplica świętości poświęcon świętości narodu całego — grobowiec Matejki, a dalej nieco, wśród innych krzyży mogilnych, równy wśród równych, jakim ów mieszczanin i demokrata był za życia, pomnik Mikołaja Zyblikiewicza, Baranieckiego, Kolberga i tylu innych... Wznosimy się ku nim duchem, wchłaniamy promienie ich myśli i uczuć... Te groby mówią, te nasze groby żyją. Bo rzucają w piersi siew zasługi i śpiew modlitwy, pełnej nadziei. I wyzwalają nas z bolów osobistych i żałoby własnej, a zespolają duchem z całym narodem.

To są nasze »Dziady«.

LIBERAT ZAJĄCZKOWSKI.*)

Poznałem go w roku 1861, wraz z Juliuszem Starklem, w izdebce na trzeciem piętrze, pod dachem w Krakowie, z którą moja izdebka sąsiadowała. Dosyć przypomnieć tę datę, żeby wiedzieć, czem się zajmowali: spiskiem, a należała do tego i tajna drukarnia. Liberat-technik, zaczął od drukarni i umarł jako drukarz. Był to urodzony satyryk, humorysta, ale nie brukowy, zdawkowy, lecz polityczny. Stworzył on pierwsze i niedoścignione dotąd polityczne pismo humorystyczne polskie: »Szczutek«. Zaprowadził w niem nowe typy, sam pisał i rysował, a miał takich współpracowników jak Lam, Chochlik (Zagórski) i Starkel, znany skądinąd jako Dzwonek i Grześ z Mogiły. Sławnym i znamiennym pozostaje dotąd wierszyk »Szczutka«, który co roku powtarzaćby należało:

Pojechali gross und wild**)
Wiedeńskimi szlaki;
Powrócili klein und mild,
Zgadnijcie kto taki...?

W »Szczutku« propagował Liberat zawzięcie program polityki federalistyczno-słowiańskiej w Austryi i pozostał jej wiernym. Ten humorysta był zarazem urodzonym aferzystą, w dobrem znaczeniu, był istotnie głową polityczną, a że w całem wzięciu swojem, z głową na bok pochyloną, był tem, co się nazywa »z cicha puk« — więc należał — albo się sam mieszał, albo był wciągany — do każdej ważniejszej w kraju akcyi. Był czynną sprężyną, a pozostawał za kulisami. I wyrobił sobie w społeczeństwie stanowisko męża zaufania, o zręcznej ręce. Stąd poszło, że miał bardzo rozgałęzione stosunki na wszystkich ziemiach polskich, znał wszystkich i wszyscy znali pana Liberata. Stąd poszło, że opierały się o niego przeróżne sprawy, a zwłaszcza dziennikarskie, że ten figlarz odgrywał poważną rolę i brał nieraz na barki za dużo, tak, że też nieraz i podołać nie mógł. Były chwile — wyraźnie chwile, tygodnie, nie lata, że na jego barki i na jego czynne ręce spadało podtrzymywanie pism jak »Ojczyzna«, »Dziennik polski«,

*) Portret w następnym numerze.
**) Gross i Wild, ówcześni posłowie z m. Lwowa.

»Gazeta narodowa«, że został współwłaścicielem drukarni, »Szczutka« zaś zaprzestał wydawać, imając się coraz innych zajęć o charakterze publicznym. W takich to okolicznościach zwracałem mu raz uwagę pisząc doń: »Liberat desperat — rad nierad, wlazł w kierat — ot smutek: gdzie »Szczutek«?...

W ostatnich latach zajmował się czynnie wystawą krajową r. 1894, jego zasługą jest postawienie na nogi Towarzystwa dziennikarzy polskich. Biorąc udział w kongresach »Związku Pracy« w Peszcie, w Sztokholmie, umiał godnie i poważnie i prasę i społeczeństwo polskie reprezentować, przejęty szczerze patryotyzmem i rozważając bacznie wszelkie polityczne konjunktury.

Jak niegdyś Franciszka Smolki, tak później pozyskał pełne zaufanie t. zw. czerwonego księcia, Adama Sapiehy, z którym codziennie grywał w szachy. Zajmował się też porządkowaniem i przysposabianiem do druku pamiętników ks. Leona Sapiehy — ojca — które obejmują lata 1830/1 — i całą pierwszą epokę ekonomicznego, społecznego i politycznego przebudzenia Galicyi. Zapewne pamiętniki te niebawem wyjdą z druku i będą one nadzwyczajnie cennym materyałem historycznym...

Był ś. p. Liberat Zajączkowski postacią wybitną, powszechnie znaną i lubianą i można o nim powiedzieć: *non omnis mortuus est.* *Dawny.*

Dr EDWIN PŁAŻEK.

Z dniem 1. listopada b. r. obejmuje we Lwowie urzędowanie następca p. Bobrzyńskiego na krześle prezydyalnem Rady szkolnej krajowej Dr Edwin Płażek.

Nowy wiceprezydent naszego krajowego ministerstwa oświaty urodził się we Lwowie dnia 8 września 1842 r. i tam też ukończył studya naukowe z tytułem doktora praw. Poświęciwszy się służbie urzędniczej przy namiestnictwie, przeszedł w niej wszystkie stopnie od najniższych do godności radcy namiestnictwa, przydzielonego ostatecznie do ministerstwa oświaty, gdzie także otrzymał godność radcy. Znaczną część czasu służbowego przeżył w biurach Rady szkolnej krajowej, jako koncepista i potem jako starosta, w ministerstwie zaś miał sobie oddany referat szkolnictwa galicyjskiego. Posłował też przez pewien czas ze Złoczowa, gdzie był starostą, do parlamentu.

Dr Płażek wnosi do urzędu dwie nieocenione zalety: dokładną znajomość kraju i niezmierną sumienną pracowitość. Dzięki własnej pracy i zasłudze obejmuje obecnie jedno z najwyższych stanowisk w krajowej hierarchii urzędniczej, a obejmuje je nie jako teoretyk, lecz jako człowiek, który od przeszło ćwierci wieku bezustannie się spotyka z ludnością na wszystkich szczeblach naszego społeczeństwa, a w szczególności poznał doskonale szkolnictwo od najniższego jego typu do najwyższego, wszystkich jego reprezentantów — od wiejskiego nauczyciela, borykającego się w złoczowskiem z nędzą, zapoznaniem z góry, apatyą z dołu — do szczytów praktyki i teoryi.

Osobiście miły, przystępny i uczynny, p. Płażek ma w sobie mnóstwo warunków, aby do Rady szkolnej krajowej wnieść nowego ducha i skutecznie walczyć z pożerającym kraj nasz analfabetyzmem.

SEWERYN ARZT.

Jubileusz pedagoga powinien przez ogół nasz zawsze być witany z sympatyą, gdyż wiadomo, jak praca nauczycielska targa nerwy, płuca, umysł, jak w naszych stosunkach nauczyciel odgrywa prawdziwą rolę pioniera.

Uroczystość jubileuszową trzydziestoletniej pracy zawodowej obchodził d. 12 października dyrektor gimnazyum w Wadowicach, Seweryn Arzt. Uroczystość tę święciło nietylko ciało nauczycielskie, lecz całe miasto, dowodząc tem, jak sympatycznymi węzłami jubilat jest złączony z obywatelstwem. Złożenie dość znacznej sumy w miejscowej kasie oszczędności jako zawiązek stypendyum im. Seweryna Arzta — obok nadania obywatelstwa honorowego miasta Wadowic — jest sposobem upamiętnienia zasług, któremu z serca przyklasnąć możemy. Stypendyum takie łączy przeszłość z przyszłością, — i oby takich aktów i jubileuszów podobnych w kraju było więcej!

KARTA ŻAŁOBNA.



Prof. Marceli Nencki,
słynny chemik i bakteryolog, chluba nauki polskiej, zmarł w Petersburgu 14 października b. r.



Inż. Edward Heppe,
starszy inżynier kolejowy, członek stałej delegacyi techników polskich, długoletni radny m. Lwowa i b. prezes tamtejszego Tow. politechnicznego, zmarł w Kossowie 18 października b. r.



Hipolit Wawelberg,
wybitny warszawski filantrop i działacz społeczny, zmarł w Wiesbadenie 20 października r. b.

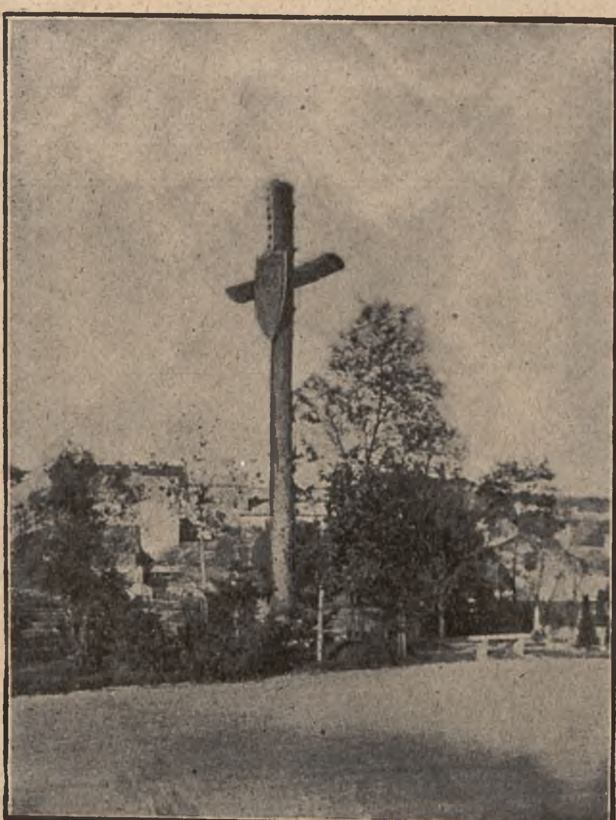
NASZE GROBY.



Pomnik Zyblikiewicza
na cmentarzu Krakowskim.



Grób Matejki
na cmentarzu Krakowskim.



Krzyż na cmentarzu Łyczakowskim
postawiony przez młodzież polską na pamiątkę poległych w 1863 r.



Pomnik Ordona
na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.



Widok głównej alei na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.



Pomnik Seweryna Goszczyńskiego
na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.



Pomnik Grottgera
na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Z SONETÓW.

I.

Jesienią.

Jak gwiazdy spadłe na czarne zagony
Jaśnieją sterty pszenne i żytniane,
A czoła w mleczną owinął im pianę
Pajęczych przędziw łańcuch wysrebrzony.

Z ognisk pastuszych bije blask czerwony.
Złocą się iskry przez dymy przesiane,
I słychać głosy tęskne, rozśpiewane,
Rusińskich dumek rozełkane tony.

I cisza znowu. Chłopskie wierzby siwe
Opadłem liściem mącą wodę w stawie.
Słychać ciągnące odlotne żurawie,

Białe, przędziwa, gdzieś lecą przez niwę,
Białe przędziwa płyną... wiatr je mota,
I płynie z stepów bezdenna tęsknota!

II.

Spadłe liście.

Na srebrne stawu zwierciadło lecą —
I świecą złotem i miedzią świecą;
I lecą trwożne jak błędne duchy,
Jak serc porwanych krwawe okruchy.

Wiatrem rzucone serc krwawych strzępy,
Między pobrzeżne szuwarów kępy.
Jakby łzy lecą, jakby krew kwiatów,
Jak pocałunki słane z za światów.

Więc lecą... lecą — a gdy na fali
Pierścień się mglistych świateł rozpali.
To się w tej smętnej płonią jasności,

Niby korowód cmentarnych gości. —
I w mętne stawu zwierciadło lecą
I świecą złotem i jak krew świecą...

(*Supranówka*) *Kazimiera Zawistowska.*

Podbój atmosfery.

Zwycięztwo Santos Dumonta.

Paryż, 19 października.

Stało się wreszcie faktem dokonanym — owo przez proroki zapowiedziane — okrążenie wieży Eiffla przez Santos Dumont'a.

Stało się zaś ściśle o godz. 2 min. 51 po południu w dniu dzisiejszym, niewątpliwie pamiętnym w dziejach aeronautyki.

Kiedy przed paru miesiącami, mianowicie 12 lipca tenże Santos na statku Nr 6 dziesięć razy (literalnie: dziesięć) zakreślił koło nad Hippodromem, kiedy tegoż samego dnia poszybował do Puteaux i wrócił stamtąd — entuzyazm tłumu był bezgraniczny. Stacyę w pobliżu Pola Marsowego nazwano »*Santos Dumont, tout le monde descend!*« I właściwie dzień ów był dniem istotnego tryumfu aeronautyki.

Ale — ale brakowało temu zwycięztwu czegoś, co w oczach tłumu je zwykle uświęca; apoteozy, uroczystości, komisyi itp. — w ogóle — szopki.

Dzisiaj — i tego nie brakowało. Owszem: panowie w cylindrach i z chronometrami w ręku na wieży, panowie w cylindrach i z chronometrami w parku St. Cloud. Sto tysięcy nagrody Deutscha — piruet żądany dokoła szpetnej wieży. Słowem, wymarzony, sportowy komplet warunków konkursowych. I na zakończeniu — to inaczej być nie może! — sławne, nieodmienne konkursowe głupstwo w konkursowym sądzie.

Ale zacznijmy od początku. Santos Dumont, jako ostateczne świadectwo sztuki kierowania aerostatem, wybrał sobie, jak wiadomo, konkurs Deutscha.

Konkurs ten przyznaje 100.000 fr. nagrody temu, kto na aerostacie odbije od pewnego punktu, okrąży wieżę Eiffla i na ten sam punkt powróci — w ciągu minut 30. Punktem odlotu był park w St. Cloud pod Paryżem. Dwadzieścia i dwa razy Santos Dumont wyruszał na tę wyprawę. Stracił przez ten czas sześć aerostatów, zanim na siódmym wreszcie dopiął swego. Ponieważ termin konkursu upłynął 31. b. m., więc Santos codziennie był gotowy do wyruszenia, komisya codzień zwołana. Pogoda jednak była ciągle dżdżysta, wiatr zbyt silny. Wreszcie oto dzień pomyślny. Szybkość wiatru 4 m. 50 cm. na sekundę, atmosfera czysta, prawie słoneczna.

O godzinie 2 minut 42 odbił Santos na swym statku z St. Cloud, o 2 minut 51 skończył świetnie dokoła wieży zakreślone półkole — o godzinie wreszcie 3 minut 11½, a więc o ½ minuty wcześniej, niż chcą warunki konkursu, aerostat waży się w powietrzu nad punktem odlotu w parku St. Cloud! Widok naprawdę jedyny w swoim rodzaju — zwłaszcza fantastycznie wyglądał ten wydłużony tułów aerostatu, gdy nurzając się jakby w niewidzialnych falach powietrza okrążał wierzchołek wieży Eiffla. Wyraźnie czuć było mocowanie się maszyny z wiatrem, a statek czynił ruchy podobne do ruchów pławnika na wzburzonej fali. Była w tem widowisku jakaś przepowiednia plastyczna niedalekiego już świata Robidów, Bellamych, Wellsów — a kontur »żelaznego stylu« wieży Eiffla, zazwyczaj nieestetycznie sterczący nad Paryżem, tym razem był prawie... poetyczny. Długi jak tułów osy, żółtawo-szary statek w lansadach fruwający dokoła wieży podobny był do jakiegoś dziwacznego owadu, pragnącego usiąść na potwornej żelaznej koronie olbrzymiego widłaku.

Również, gdy statek szybował z powrotem, mając wiatr przeciwko sobie, widok był niezwykły prawdziwie. Bo oto znowu powtarzała się w oczach naszych historya »nędznej łupiny« rzuconej na »potężne fale«. Tylko, że tym razem dokoła łupiny bezmiar większy od wszystkich oceanów razem wziętych — i rozbicie stokroć śmiertelniejsze — i zwycięztwo stokroć bardziej upajające. Tymczasem zaś statek szybował w ciągłych podrzutach, wprost miotając się z góry na dół, z dołu do góry, jak to widziano nieraz na ruchach dziecinnego latawca. W końcu sternik zwyciężył i na wysokości jakichś 200 metrów znalazłszy sprzyjającą atmosferę — poszybował, jak łódź dziobem ku przystani idąca.

Skądkolwiek, ktokolwiek patrzał na te zapasy aeronauty z asmosferą — każdy musiał być porwany i odwagą, i skutecznością ich. W oczach Paryża i okolic Santos konkursową nagrodę zdobył.


Wityk.


Głuszko.


Witold Reger.


Kolkiewicz.


Żurawski.

Oskarżeni w procesie wojskowym przed sądem przysięgłych w październiku b. r. we Lwowie.

Inaczej naturalnie orzekła komisya, bo w »łonie« tejże nastąpiło »rozdwojenie« zdań.

Oto Santos przepłynął nad punktem odlotu za wysoko i nie mógł odrazu dosięgnąć ziemi kotwicą. Ta bowiem ma długości 100 metrów, balon zaś szybował na wysokość 150 metrów. Więc Santos, by zniżyć lot, musiał zatoczyć pewną linię pochyło-krzywą, na co znów poświęcił 1 minutę i 10 sekund. W rezultacie w 30 minut i 40 sekund po odbiciu, *guide-rope* czyli kotwica była znowu w ręku posługaczy, poczem rozpoczęło się wylądowywanie aeronauty i ściąganie statku.

I o te czterdzieści sekund kłóci się teraz cylindrowo-chronometryczna komisya. Mniejsza z tem: wyrok jej już faktu nie zmieni, a sprawa sama nie tu się kończy, boć to nie Jockey-klub, ale pionerstwo.

Rzućmy tymczasem okiem na całość dotychczasowej pracy Santosa i jej znaczenie.

Przedewszystkiem ochłońmy z zapału, jeszcze nie stoimy wobec rozwiązania kwestyi żeglugi powietrznej i podobno nie staniemy, dopóki aerostatyka nie oprze się na sile wzlotu, nie zaś na zasadzie lekkości statku. Czegoż więc dowiódł Santos Dumont?

Otóż dowiódł przedewszystkiem po raz tysiączny, że potęga woli i odwagi są najsprawniejszymi czynnikami wszelkiego zwycięztwa. Dwadzieścia i dwa razy ten człowiek porywał się pod obłoki, zdając sobie sprawę z niedoskonałości statku, lecz również wiedząc, że przez próby tylko można kroczyć — tutaj lecieć — dalej.

Szemat podany obok przedstawia Santosa Nr. 7, sześć zaś innych Santosów rozbiło się przedtem. Otóż Nr. 7 jest owocem stopniowych udoskonaleń pierwszego modelu — owocem tej niesłychanej, zuchwałej seryi Ikarowych lotów, która jednak skończyła się — zmężnieniem skrzydeł. Od pierwszego razu Santos Dumont przyjął formę statku podłużną, motor naftowy, ster o dwóch skrzydłach. Zmieniały się głównie wzajemne proporcye ciężaru i formatu części składowych. Tak Santos Nr. 1 miał pojemność 180 metrów sześciennych, 25 metrów długości, $3\frac{1}{2}$ szerokości. W następnym zmieniła się szerokość (djametr. balonu), która wynosiła 3 m. 80 am., stąd pojemność wzrosła do 200 metrów sześciennych. — Stopniowo jednak musiał Santos zwiększać pojemność swych statków, aż wreszcie doszedł do proporcyi obecnych (Nr. 7) a mianowicie:

Długość balonu wynosi 34 metry, szerokość 6 metrów (wielka i mała oś) — pojemność 622 metry sześcienne, waga 1.10 kilogramów. — Wewnątrz dużego balonu, wypełnionego gazem, znajduje się mały balonik wypełniony powietrzem (pojemność 60 metrów), który służy, przez stopniowe wydymanie, do utrzymywania kształtu dużego balonu w miarę, jak się gaz ulatnia. Podwójny, wzdłuż balonu idący system umocowań łączy balon z belką również długą (18 metrów), która jest punktem oparcia, rusztowaniem dla steru, motoru i siedzenia aeronauty. Belka ta waży obecnie 50 kilogramów. Motor o sile dwudziestu koni znajduje się w jej środku — z tyłu belki poruszają się skrzydła steru — na przodzie zaś jej znajduje się siedzenie aeronauty i kółko sterowe, rękojeść, połączona z motorem — względnie ze skrzydłami. Rozwarcie skrzydeł wynosi 4 metry, prędkość 300 obrotów, siła 90 kilogramów. Sternik prowadzi swój statek zwrócony twarzą ku przodowi, mając ster za sobą, podobnie jak sternik okrętowy. Pod ręką wreszcie ma sternik sznurek do przyrządu rozdzierającego powłokę balonu na wypadek koniecznego wylądowania — ma też pod ręką i sznury *guide-rope'y* t. j. kotwicy, przyrządu do czepiania się ziemi. Pomijam drobiazgi w rodzaju latarni i t. p.

Niewątpliwie w stosunku do aeronautyki przyszłości cały ten statek wyglądał jeszcze naiwniej niż balon Mont Golfier'a w stosunku do aerostatów dzisiejszych. Ale też będzie równie wart pamięci co ten pierwszy.

Słabą stroną statku Santosa jest oczywiście to, że nie może się oprzeć sile wiatru. Przy szybkości 4 m. 50 cm. na sekundę — jest to zaledwie szybkość powiewu, nie wiatru, — statek już wykonywa ruchy konwulsyjne, przy trochę większej szybkości po prostu łamią się przyrządy, skrzydła stają, motor nie działa. Jest to więc statek, którym najfortuniej możnaby operować nad morzem w czasie ciszy morskiej. Że zaś i nad morzem i nad lądem taki stan atmosfery należy do wyjątkowych, więc statek dzisiejszy nie ma jeszcze doniosłości praktycznej.

Po prostu wynalazek nie gotów jeszcze do użytku publicznego. Ale niesłychanie ważną jest ta okoliczność, że już na nim bądź co bądź manewrować a więc doświadczać — można. I to jest zwycięztwo Santosa: stworzenie pierwszego warunku postępu — ciągłości doświadczeń.

Przyjrzyjmy się teraz człowiekowi, ażeby coś wywróżyć na przyszłość.

Albert Santos Dumont, francuz i brazylijczyk razem, urodził się w Brazylii w r. 1873. Jest więc obecnie w sile wieku: ma dużo czasu przed sobą, a umie z niego korzystać. Do Paryża przybył w roku 1897 już z wyraźnym planem systematycznego »podboju atmosfery«. Dla otrzaskania się z powietrzem odbył kilkanaście wycieczek ba-



Santos Dumont okrąża wieżę Eiffla dnia 19 października 1901 r.
(Od naszego korespondenta).

lonem z aeronautą Machuzon'em, a gdy osądził, że już da sobie rady, począł probować na własną rękę. Próby te ciągnęły się w ciągu kilku lat — a od początku Santos wpadł na myśl stosowania motoru benzynowego, który znał ze sportu automobilistycznego. Przez kilka lat udoskonalał swoją maszynę, ale właściwie trzeba by przypomnieć wszystkie te karkołomne, a cudowne rozbicia i ocalenia Santosa, ażeby zdać sobie sprawę z szalonej odwagi i wytrzymałości tego »sportsmana«.

Cóż nim powoduje? ambicya? zapewne, a musi mieć ambicyę, a nawet ambicyę patryotyczną, bo Brazylijczycy za wynalazcę aeronautyki dotąd uważają swego rodaka Gurmao. Ztąd te wyrazy uznania i poparcia Santosa przez rząd brazylijski.

W każdym razie ambicye Santosa są natury dość szlachetnej, a już wcale nie kryją interesowności. Santos wszelkie propozycye objazdów złotonośnych ze swą maszyną po Ameryce i Europie — odrzucił, nagrodę zaś Deutscha (100.000 fr.) z góry przeznaczył dla ubogich miasta Paryża. Zresztą jest to człowiek bardzo bogaty, jako syn słynnego »króla kawowego« z San-Paolo.

Tu zanotować warto charakterystyczny szczegół iście amerykańskiej edukacyi Santosa. Gdy miał 12 lat, ojciec darował mu do zabawy lokomotywę. Była to jednak lokomotywa prawdziwa, bawił się zaś młody sportsman w ten sposób, że jeździł nią po obszarze plantacyj ojcowskich, obsługiwanych przez 68 kilometrów własnej kolei żelaznej. Rzecz prosta, że skoro tak się »bawił« w dzieciństwie, to potem nie zabrakło mu rozmachu, tak niezbędnego w aeronautyce. Jakoż o rozmachu świadczą o tem same wydatki na sport Santosa. Od roku mianowicie 1897 wydał na konstrukcyę i utrzymanie swoich siedmiu aerostatów i wogóle na cele aeronautyki — 40.000 fr.

Potem coś warta i ta odwaga, z jaką »wyprobowuje« sam swoje latawce. Taki rumak powietrzny, nieujeżdżony, to prawdziwa kawalerska fantazya! I Santos mały, szczupły, suchy, jakby wywinięty z kłębka nerwów i mięśni człowieczych — ma coś w sobie, coś »kawalerskiego« — taki sobie mały »rycerz« — harcownik powietrzny. Ma w oczach to samo jakieś stalowe światło, które cechuje ludzi szybkiej i nieugiętej woli.

Zimna krew jego stała się już przysłowiowa, a dziś oto otrzaskał się nietylko z powietrzem, ale i ze sławą, co mu niewątpliwie w dalszej pracy posłuży.

O dalszej już tylko pracy marzy Santos. Właściwie zaś nie marzy, lecz się do niej przygotowuje. Na zimę, aby nie przerywać doświadczeń wyprawia się Santos ze statkiem na Rivierę. Tam będzie dalej »próbował« nad morzem swych latawców, mając na względzie dotarcie do Korsyki (130 kilometrów). —

Na tej drodze — na drodze »trenowania« siebie i swego latawca może Santos dużo jeszcze zrobić — Czy zrobi coś na drodze wynalazków wiedzieć nie możemy.

Paryż. *Aer.*

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z Pamiętnika panny Hali — jej „Pa“ i „Ma“

Ciąg dalszy.

28 Marca, rano. — Za granicą...

No nareszcie jesteśmy w Krakowie. Stanął mi zegarek, że nie wiem o której godzinie przyjechaliśmy do hotelu...

Umyślnie napisałam tytuł u góry, bo to bardzo ładnie brzmi: Za granicą!

Nie wiem tylko czy to właściwe, bo tutaj tak wszystko po polsku, jakby to nie było jeszcze „za granicą“ — a w pociągu to tylko z jednym konduktorem mogłam się rozmówić po niemiecku — a i to, on w końcu powiedział, że będzie mi wygodniej mówić po polsku...

Także się wybrał.

Nie po to się jeździ „za granicę“, żeby rozmawiać po polsku...

Ale kiedy w tym Krakowie, to prawie inaczej nie rozumieją. —

Zażądałam od pokojówki wody ciepłej — ma się rozumieć, mówiłam po francusku — nie zrozumiała!

Dopiero jak jej po polsku nawymyślałam — to zrozumiała.

„Pa“ i „Ma“ już spią, a i Stokrotki także, biedactwo, takie były zmęczone drogą, że je „Pa“ z wagonu musiał wynosić.

Deszcz pada i takie błoto, takie zimno.

Z okna nie widać tylko takie same domy jak u nas, ale tak odrapane... że też to na to pozwoli policya. —

Pierwszy raz mieszkam w hotelu.

Trzeba iść spać, bo kuzynek Jaś, ma przyjść o drugiej...

. . . .

Byłam na korytarzu; długi i ciemny, drzwi koło drzwi, a prawie przed każdemi stoją buty... jak to zabawnie wygląda!

A przed sąsiedniemi drzwiami, stoją długie buty z ostrogami i damskie buciki, ogromne, i takie niezgrabne — to pewnie jaki oficer z żoną! Ale, żeby szanująca się kobieta miała takie powykrzywiane buciki?...

. . . .

Służba to ogromnie grzeczna w tym hotelu, wszyscy mówią: całuję rączki i jaśnie panienka!

Tutaj umieją cenić ludzi.

A u nas, to nawet nasz stróż tak mi nie mówi.

Ale, bo też u nas... Boże się zmiłuj — chamstwo.

Ach, żeby to już prędzej być w tym Neapolu, Rzymie, Florencyi — tam, to dopiero śliczne mieć muszą anzichtskarty! —

U nas tam już wstają, Rozalia pewnie nastawiła samowar albo poszła po bułki, a ciocia zaczyna się wypychać... tapicerka!

Także pomysł... jadę do Włoch, jestem już „za granicą“ i będę sobie jakąś tam głupią Rozalię przypominała. —

Ciekawam co pan Henryk robił wieczorem?...

Dziwne, ale jeszcze jakoś za nim nie tęsknię.

Chociaż, kto mi teraz będzie przynosił cukierki?...

. . . .

Wieczorem. — Ale ten kuzyn Jaś, od czasu jak został dekadentem i mówi samemu Przybyszewskiemu, „Stachu“, to ogromnie wyprzystojniał.

A taki dowcipny i tak dziwnie patrzy, że... coś okropnego.

Ubrany tylko tak jakoś, że w Warszawie tobym się wstydziła z nim iść na ulicę, bo by wszyscy zwracali uwagę... Ale tutaj to mi wszystko jedno, nikt mnie nie zna! I ogromnie dobrze wychowany, przyniósł mi pudełko cukierków... gorsze co prawda, niż u nas w Warszawie, ale już tak byłam stęskniona!

„Ma“ już spi, zmęczona pewnie, bo tyleśmy się dzisiaj nachodziły i po sklepach, po kościołach i w muzeach — że już nóg nie czuję.

„Pa“ z kuzynkiem Jasiem, wyprowadzili Stokrotki na spacer, bo biedne pieski prawie cały dzień przesiedziały w hotelu. —

A jutro mamy iść do teatru, bo dzisiaj nie grają, co? — to dopiero prowincya!

Ale anzichtskarty mają śliczne! Napisałam z pietnaście i szkoda, że już nie mam więcej do kogo pisać!... Aha, mam, tak napiszę nawet do Rozalii — to może grzebyk się znajdzie, i zaraz cały dom będzie już wiedział, że jesteśmy już za granicą, i, jak ja pamiętam o naszej służbie. —

Wstaliśmy już po drugiej, kuzynek Jaś zaraz przyszedł i z zaproszeniem od swojej matki, która jest cioteczno-stryjeczną siostrą „Pa“, na obiad na jutro. Nie widziałam jej nigdy, bo... ona nie może wracać do Warszawy — ciekawe, co? „Pa“ mówi, że to stara waryatka, bo się dziesięć lat chłodziła w tej naszej obszerniejszej ojczyźnie i jeszcze się nie ochłodziła.

Ale kuzynek Jaś, to przyjeżdza do nas często, oho, on nie jest taki głupi, woli być porządnym dekadentem i nie chłodzić się — obiecał, że jutro w teatrze pokaże mi Przybyszewskiego.

Już o tej znajomości napisałam Cesce.

Byliśmy na obiedzie u tego sławnego Hawełki.

Boże, jakaż to nora! — a tutaj to wszyscy chodzą i jest sławny! A jak jeść dają... bez serwet, na bibułach jak dla dorożkarzy. —

Ale „Pa“ tak był zachwycony, pił tylko cztery kufle, że temu, co odbierał pieniądze, podał rękę — jak ci mężczyźni na niczem się nie znają, i nie umieją się szanować, to coś okropnego!...

Aż „Ma“ musiała mu powiedzieć: Janie!

Bo kto wie, możeby się był jeszcze całował z tamtym garsonem...

Muszę notować po kolei, żebym miała o czem pisać panu Henrykowi.

Wyszlismy od Hawełki, i chciałam abyśmy pojechali w tutejsze Aleje Ujazdowskie — ale „Pa“ twierdził, że mu radca tego nie zanotował... A kuzynek Jaś powiada, że niema.

— A gdzież jeżdżą i chodzą na spacer?

— Spaceruje się po plantach i po linii Analfabetów.

Także miasto, i wartoż było wstępować!

O, mnie nigdy przeczucia nie zawodzą: najpierw grzebień, potem ta historya na granicy, a teraz, że niema gdzie zobaczyć tutejszego towarzystwa!...

Kuzynek pokazywał nam „Rondel“, śmieszna nazwa, i tę Bramę Floryańską, ale to nic szczególnego, brudne, obdrapane i wcale niełądne.

„Pa“ powiedział, że to tylko szkoda tak porządnego placu, bo w tem miejscu mogłyby stać porządne domy o czterech frontach, ze sklepami na dole — toby się lepiej opłaciło miastu niż te rumowiska!...

No i z pewnością byłoby ładniej. —

Floryańską poszliśmy na A-B, którą kuzynek nazywa linią Analfabetów, ale niewiem dlaczego, bo mnie się podoba ta nazwa: A-B, to jakoś tajemniczo brzmi... jak z romansu. —

Obejrzeliśmy wystawy!

Boże zmiłuj się, ja nie wiem, ale naprawdę, to tutaj kupują chyba same pokojówki i kucharki — takie wszystko ordynarne, bez gustu taka tandeta... u nas na Nalewkach, to sto razy lepsze rzeczy sprzedają.. tylko, że ogromnie tanio. — Weszłyśmy do paru sklepów... ogromnie tanio i wszędzie mówią po niemiecku — „Ma“ kupiła mi śliczną matinkę i tylko za 25 guldenów — u nas toby kosztowała ze 40 rubli!...

Rynek taki sobie, a u nas plac teatralny, znacznie ładniejszy, tylko Sukiennice ładne — ale na ulicach prawie nikogo, ani jednej sukni, ani jednego możliwego kapelusza, i nigdzie nie widać studentów, u nas to przecież zawsze można spotkać ich na ulicy.

A kuzynek Jaś powiada, że i tutaj nie robią nic innego tylko się włóczą po ulicach, ale że nie noszą mundurów, to się nie odznaczają.

Jakto? studenci nie noszą mundurów!!!...

To nie do uwierzenia, to coś okropnego!

Ależ to barbarzyńskie, obrzydliwe, to nie do uwierzenia, żeby studenci chodzili bez mundurów i wyglądali na pierwszych lepszych!...

Żeby nikt tego nie wiedział, że są studentami! Nie, nigdybym tutaj nie chciała być studentem...

Jestem przekonana, — że i pan Henrykby nie chciał, bo jemu jest bardzo dobrze w mundurze.

Wstąpiliśmy potem do kościoła Maryackiego!

„Ma“ z „Pa“ zostali modlić się w ławkach, a myśmy z kuzynkiem oglądali!...

Istotnie duży kościół, ale ciemny i brudny...

Kuzynek pokazywał mi te ściany malowane przez pana Matejkę i powiada, że to arcydzieło...

Nie znajduję..., mnie się wydają bez gustu, jak w jakim chłopskim kościele... mogliby odnowić szykowniej. Trochę się znam przecież, bo mamy duży dom i wiem jak się odnawiać powinno, żeby wyglądało elegancko! — A już te kolorowe okna, to dobre na schody, do przedpokojów, ale żeby w kościele...

Chociaż na taką dziurę jak Kraków, to dobry i taki kościół...

Ale u nas w Warszawie, toby go nikomu nie pokazywali, mamy tyle i piękniejszych, czystszych i porządnie wymalowanych. —

Pan Henryk mówił, że koniecznie trzeba zwiedzić Wawel i groby królewskie, więc pojechaliśmy.

Ale nie widziałam jeszcze ani jednej dorożki na gumach — pewnie i tego nie ma w tym Krakowie. —

Groby były już zamknięte, to i lepiej, bo ja się strasznie boję umarłych, no i przecież jeszcze kiedyś będę w Krakowie... Chociaż, co może być interesującego w królewskich grobach!... Nie leżą przecież na wierzchu w płaszczach i koronach z berłami!...

Katedry małośmy widzieli, bo się już szaro robiło, i tak była zastawiona rusztowaniami... a przytem „Ma“ to zamiast oglądać, przed każdym prawie ołtarzem klęka i modli się... a naprawdę, mnie tak kolana bolą od klęczenia, że coś okropnego...

Naprawdę, ale widzieliśmy prawdziwego i żywego kardynała!

Wychodzimy z katedry, mija nas jakiś wysoki gruby ksiądz, myślałam, że to jaki dragon przebrany! A nasz przewodnik powiada: „to kardynał“

(C. d. n.)

POGRZEB DRYADY.

O północy cicho zaszumiał las,
Z za obłoków wyjrzał księżyc blady,
Osrebrzył liście starych drzew i zgasł,
A z mroków ozwały się dryady...

I powoli, nucąc żałobny śpiew,
Zeszły się w tłum na starej polanie
I w cieniu wielkich, bladosrebrnych drzew
Śpiewały, tłumiąc w piersiach łkanie.

Nadciągnął elfów siwowłosych rój,
Nadpłynęły na pogrzeb mgły sine,
I rozpłakał się rzewnie cichy zdrój
W tę smutną, północną godzinę...

Ptactwo leśne zleciało się z gniazd,
Zaśpiewało smętną pieśń chórem,
Potem na niebie zgasły ognie gwiazd.
Las stał w milczeniu ponurem...

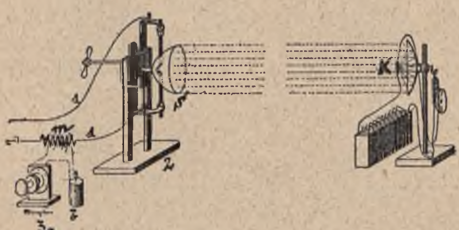
Aż nagle wiatr uderzył w liście drzew,
Zapłakał, i orszak duchów blady
Powoli, nucąc pogrzebowy śpiew,
Popłynął w dal z ciałem zmarłej dryady...

Kraków. *Włodzimierz Perzyński.*

Telefon bez drutu i fotografofon.

Porozumiewanie się wzajemne bez materyalnego łącznika — rozmowa, wymiana myśli bezpośrednia, to dawne ponętne marzenie ludzkości!

Mowa — ten pierwszy łącznik dusz, głos ludzki nie dochodzi daleko, rozprasza się w przestworzu, najmniejsza przeszkoda osłabia fale powietrzne; a przecież jakby to było cudowniej,



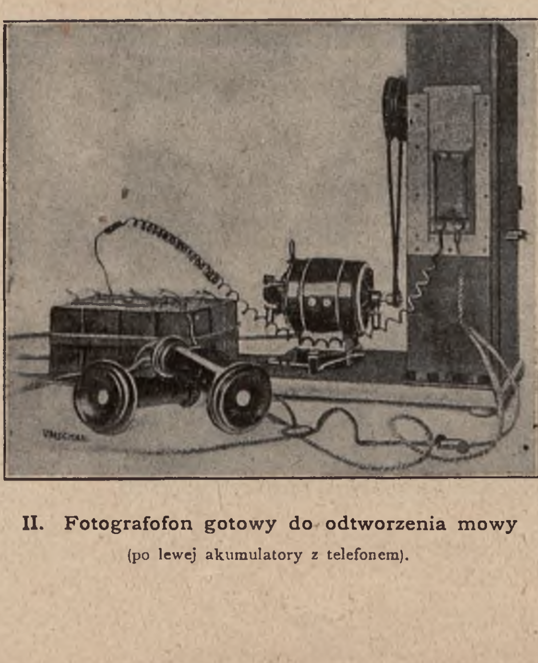
I. Telefon bez drutu z pomocą mówiącej lampy łukowej.

gdybyśmy rozdzieleni morzami, górami, mogli bezpośrednio doświadczyć się o siebie i mnóstwo rzeczy nas żywo obchodzących.

Dzicy, ludy pierwotne mają tajemnicze sposoby dowiadywanie się o zdarzeniach odbywających się daleko, oto np. śmierć jenerała Gordona podczas wojny w Sudanie wiadomą była w Kairze tego samego dnia, mimo iż wszystkie druty telegraficzne zostały przerwane. W jaki sposób? — nie wiadomo.

Uczeni podróżnicy w Afryce opowiadają, że zastawali w chatach krajowców zakopane w ziemi większe narzędzia, na których wykonywano umówione znaki (uderzenia w tempie) a te dochodziły podziemną drogę do daleko odległych osad. Być może, że za pośrednictwem żył kruszcowych lub strugi wody podziemnej. Potrzeba szybkiej bezpośredniej komunikacyi, zdawna istnieje wszędzie a już najbardziej odczuwaną jest w wieku pary i elektryczności. Niedawno dopiero słyszymy o telegrafowaniu bez drutu a już zjawia się jeszcze bardziej zdumiewająca nowość telefon bez drutu (I.) z pomocą mówiącej lampy łukowej.

Szemat rysunku objaśnia całą rzecz: Przewodami 11 płynie prąd z dynamomaszyn, zasilający



II. Fotografofon gotowy do odtworzenia mowy (po lewej akumulatory z telefonem).

światło lampy łukowej *2* i *S* (z reflektorem). Przy *3a* jest mikrofon przy *b* baterya odnośna. W miejscu *m* druty bateryi służącej do mówienia, nawinięte są na przewód dla światła. Śpiew, muzyka itp. produkcye przed mikrofonem wywołują zmiany natężenia prądu bateryi, które znowu wpływają na siłę światła elektrycznego.

Lampa odpowiednio do głosu świeci mocniej lub słabiej a światło to migające z pomocą reflektora przesyłać można na dziesiątki kilometrów odległości. Jakżeż te zmiany światła przemienia się napowrót w głos?

Oto w stacyi odbiorczej włączona jest w przewód telefoniczny zwykła blaszka selenu (*K*) (materyał zbliżony do siarki) mająca tę właściwość, że odpowiednio do światła lepiej lub gorzej przewodzi prąd elektryczny, czyli zmienia prąd w telefonie. Zmiany prądu zaś jak wiadomo wytwarzają fale głosowe; brzmienie nadawane z kilometrowej odległości. Głos płynie więc na promieniach światła tej lampy łukowej.

Głos ten powstały przez zmianę światła, można nawet przechować, i do tego celu służy niedawno obmyślony zajmujący aparat: Fotografofon fotografujący głos. Rysunek (Nr. II.) przedstawia aparat służący do fotografowania zmian światła na pasku filmów; jak przy kinematografie motor mały służy dla obracania pasku zawartego w skrzyneczce w tempie jednostajnem. Chcąc z tego paska otrzymać kiedykolwiek całą mowę, śpiew itp. wkładamy go w aparat podobny do kinematografu, jaśniejsze i ciemniejsze paski, które obracane są w tem samem tempie jak były zdjęte przed blaszką selenu włączoną w aparat z telefonem wywołują zmienne prądy i tak światło przetwarza się w głos. Rzeczywiście trudno przedstawić sobie coś bardziej zdumiewającego! Pasek papieru, z którego pomocy telefon gra, śpiewa i mówi, to co przeminęło dawno, co wyszło z dalekich a dalekich może miejsc.

Edmund Libański.

PASAŻ MIKOLASCHA

we Lwowie.

»Lwów nie każdemu zdrów«, powiada dawne przysłowie, przysłowie, pochodzące z dawnych czasów, gdy tam, gdzie obecnie ścielą się skwery i plantacye, płynęła Pełtew, korytem otwartem, gdy tam, gdzie dziś wznoszą się pomnikowe budowle, były bagna i moczary. W ostatnich latach rozwinęła się stolica kraju wprost niebywale pod względem budowlanym i zdrowotnym.

Powyższe przysłowie straciło swój walor...

Budynki monumentalne, powstałe w ostatnich czasach, mogą imponować nawet światowym bywalcom. Do takich gmachów wspaniałych należy niedawno oddany do użytku publicznego »pasaż Mikolascha«, z którego podajemy załączone ryciny. Pasaż ten stał się atrakcyą miasta Lwowa, warto więc poznać kilka szczegółów o położeniu i powstaniu tegoż.

Łączy on ulicę Kopernika z dawną ulicą Krętą i Chorążczyzną — a cały budynek zajmuje blizko morgę powierzchni. — Kiedy zaczęto demolować



Wnętrze pasażu Mikolascha.

stary hotel Żorża i otworzono nowe arterye uliczne, powstał plan budowy tego pasażu w umyśle p. Andrzeja Romaszkana, zięcia ś. p. Mikolascha. Dzięki jego usiłowaniom i przezwyciężeniu najrozmaitszych trudności natury prawnej i finansowej, wykończono wedle planów architekty Kuszyca i Zacharyewicza ten pasaż kryty szklanym dachem 120 m. długi i 18 m. szeroki. Rozkład ubikacyi jest tak pomyślny, że od wnętrza pasażu nie ma okien prywatnych mieszkań; wyłącznie umieszczone są olbrzymie szyby 9 m.² powierzchni, należące do sklepów i wielkich sal restauracyi, kawiarni, Tow. sztuk pięknych i sali wykładowej Uniwersytetu ludowego im. Adama Mickiewicza, z poza których strugi światła spływają na ozdobne mury i posadzkę pasażu. Trzy olbrzymie lampy łukowe, mnóstwo żarówek roznieca wieczorem w tej hali światło prawie dnia — tłumy snują się tam bez przerwy. — Elegancka kawiarnia Hugeta i weranda ściąga mnóstwo osób, a tuż widzimy przez wspaniałe szyby codziennie odbywające się prelekcye Uniwersytetu ludowego, audytoryum liczne i prelegenta.

Pasaż cały ogrzewany jest centralnie; nad porządkiem i czystością czuwają dzień i noc dozorcy, a dwie maszyny o sile 100 koni parowych, dalej potężna dynamo oświetlają budynek z prawdziwą rozrzutnością.

Wartość gmachu oznaczoną jest na 1,000.000 złr. budowa sama kosztowała 600.000 złr. Właścicielem, a właściwie współwłaścicielem największej części, jest p. Andrzej Romaszkan, który pilnuje i przestrzega nieustannie, by pasaż nie uronił nic z uroku swego, by nie uszkodzono murów, rzeźb, malowideł — aby pozostał zawsze atrakcyą miasta Lwowa.

Ryciny nasze przedstawiają widok wzdłuż osi pasażu, w głębi studnię i piękną statuę Wenery.

(*l*...)

Dla myśliwych.

(Przedruk dozwolony tylko z podaniem źródła).

Jak oryentować się w lesie.

Jestem jak w lesie, mawiają ludzie, chcąc przez to powiedzieć, że się w danej sytuacyi nie umią zoryentować. A jednak i w nieznanym nawet lesie można nie zabłądzić i dojść tam, gdzie się chce,



PASAŻ MIKOLASCHA WE LWOWIE.



JAN GALL Z ECHISTAMI.
(Fot. Paweł Pechter w Tarnopolu.

trzeba tylko mieć pewien zasób wiadomości i trochę praktyki.

W lesie ogromnie dopomagają do oryentacyi drzewa i kamienie mchem obrosłe, płoty, krzyże a nawet mrowiska — i te przedmioty należy badać.

Jeżeli zwrócimy uwagę na pojedynczo stojące, a zatem na wichry narażone drzewa, spostrzegamy, że drzewa te w naszym klimacie pochylają się na południowy wschód i mają po przeciwnej, a zatem na stronie zwróconej ku północnemu zachodowi, korę grubszą i mchem pokrytą. Pień świeżo ściętego drzewa lub małe drzewko ścięte przez turystę, jest także jedną z wskazówek, pierścienie drzewa bowiem najgęściej zbiegają ku stronie, z której wichry dmą, a zatem ku północnemu zachodowi. Kamienie, skały, a nawet skupy gliny, wystawione na działanie atmosfery, porastają mchem z tej samej strony. To samo można powiedzieć o płotach, krzyżach przydrożnych. — Mrowiska obrastają mchem od strony wschodu.

Kościoły, kapliczki itd. — znana zresztą rzecz — mają oś nawy zwróconą w kierunku z zachodu na wschód; w starych kościołach wieża wskazuje zachód, wielki ołtarz wschód.

Prócz tego istnieje cały szereg roślin, zwracających brzegi liści na północ lub południe: busole rzucone hojną, ręką matki przyrody, jak n. p. odkryta w Ameryce roślina kompasowa. Oto wskazówki — do wyzyskania w praktyce.

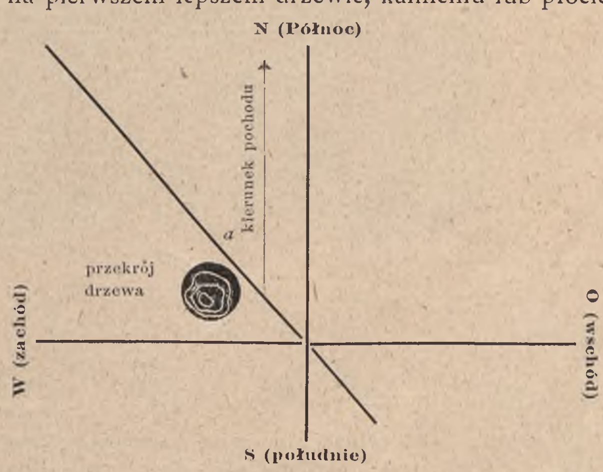
Podczas deszczu, można na niedalekie odległości oryentować się w ten sposób, że się obserwuje kierunek padania kropel — przeciwna strona drzew pozostaje suchą. Jeżeli się raz zapamiętało kierunek w którym pochód się odbywa, to wyżej podana okoliczność może dopomódz do oryentacyi.

Sprobójmy wskazówki te objaśnić przykładem.

Mamy iść w kierunku północnym. Chmury na niebie nie pozwalają na oryentacyę według położenia słońca.

Jak rozwiązać to zadanie?

W takim wypadku należy przedewszystkiem na pierwszem lepszem drzewie, kamieniu lub płocie



wyszukać stronę pokrytą mchem, czyli północno-zachodnią, kierunek ten zapamiętać i od tej strony iść na prawo wskos. Podczas drogi obiera się punkty oryentacyjne n. p. drzewa i kontroluje ustawicznie stronę północno-zachodnią, za pomocą kamieni, drzew lub w ogóle przedmiotów porosłych mchem.

Eska.

Jan Gall z „Echistami".

Ulubiony kompozytor i dyrygent »Echa« lwowskiego na czele świetnej drużyny śpiewackiej, dał niedawno szereg koncertów na prowincyi. Podajemy w reprodukcyi fotografię sympatycznej drużyny z czasu jej pobytu w Tarnopolu, nadesłaną nam życzliwie przez amatora p. P.



Z teatru lwowskiego: KONSTANCYA BEDNARZEWSKA.

SPORT.

Z Atletyki.

Następca Pytlasińskiego.

Patrz fotografię na stron. 147)

Przed kilkoma dniami oznajmiono w naszej redakcyi wizytę p. Stanisława Cyganiewicza.

»Prosić« rzekł redaktor — i smętnie spojrzał na stojący koło biurka fotel, przeznaczony dla gości. »Nogi kruche« mruknął.

Wszedł młodzieniec, krępy, przysadkowaty, rozrosły w barach niesłychanie — wyciągnął na powitanie rękę, z której jednego palca możnaby wykroić dwie średnich rozmiarów rączki kobiece...

»Powitać nową gwiazdę» — rzekł redaktor. — Proszę, niech Pan siada«.

Pan Cyganiewicz badawczem, nieufnem spojrzeniem sprawdził wytrzymałość nóg fotelu — i usiadł. »Mocny fotel« zauważył z pewnem zdziwieniem.

»Siedź Pan tylko spokojnie!« rzekł redaktor. I p. Cyganiewicz siedział spokojnie, bo jak wszyscy atleci, — ma i on usposobienie flegmatyczne i łagodne. Ktoby przypuścił, widząc kolosy ciała i muskułów, zmagające się na arenie z naprężeniem wszystkich sił, że to w życiu prywatnem zazwyczaj ludzie spokojni, rozważni i powolni?

Poczucie istotnej, wielkiej siły, jak wszędzie tak i w zakresie atletyki, wyrabia spokój i miarę.

A p. Stanisław Cyganiewicz staje dzisiaj w pierwszym szeregu atletów. Nie zadługo imię jego szeroko będzie rozbrzmiewać po świecie.

Przed kilku miesiącami, gdy jeszcze uczęszczał do gimnazyum, na kilka dni przed »maturą« pojechał do Berlina i stanął tam do wielkich zapasów międzynarodowych, w których powalił między innymi kolosalnego Beaucarois ..

Następnie powrócił do Krakowa — zasiadł do matury, i zdał ją, w czem także należy widzieć *un tour de force* zapaśnictwa.

Teraz wyjechał do Wiednia, gdzie zapisał się na studyum rolnicze, (*Hochschule für Bodencultur*), ma jednak zamiar poświęcić się głównie zapaśnictwu.

I bardzo dobrze robi. Bo być pierwszorzędnym atletą, to dzisiaj przedstawia niemal takie korzyści jak być pierwszorzędnym tenorem. Sport atletyczny i zapaśnictwo budzi dzisiaj wszędzie w wielkich miastach tyle zainteresowania, nagrody w turniejach światowych są tak wysokie, że kogo matka przyroda obdarzyła zręcznością i siłą Ursusa, powinien

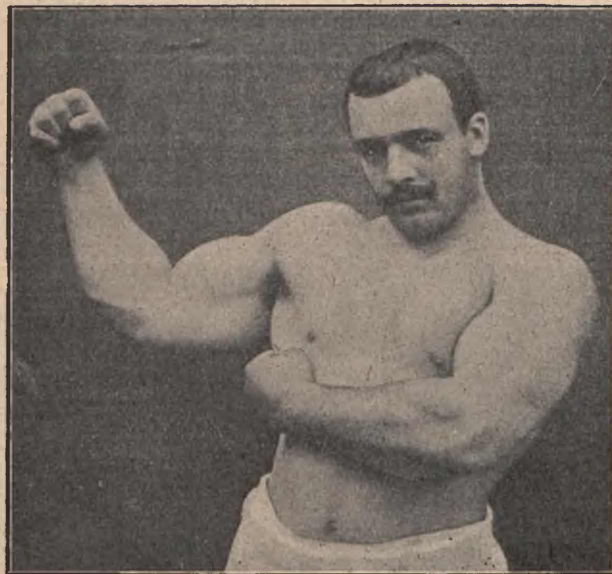
w tej dziedzinie sięgać powieńce laurowe.

P. Cyganiewicz ma wszelkie dane na na pierwszorzędnego zapaśnika.

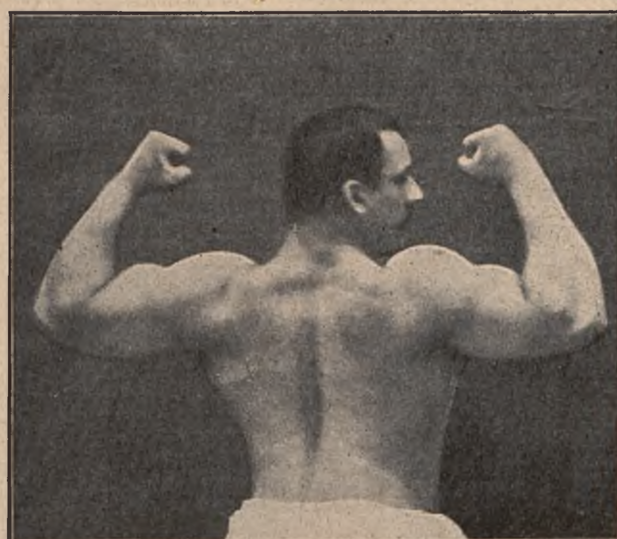
Przyznaje mu to sam przedewszystkiem mistrz wytwornej walki, Pytlasiński, który widzi w nim swego następcę, co zaćmi mistrza.

Pytlasiński sam bowiem już porzuca karyerę atletyczną skutkiem nieszczęśliwego wypadku z prawem ramieniem, które mu zbyt często wyskakuje z nasady, i będzie prowadził szkołę atletyczną.

Mamy więc nadzieję, że młody p. Stanisław godnie reprezentować będzie zapaśników polskich na turniejach światowych — i elegancyą i szlachetnością walki zjedna sobie w kołach sportowych ten mir, jaki przypadł w udziele poprzednikowi jego nauczycielowi. *Sokół.*



Stanisław Cyganiewicz.



Stanisław Cyganiewicz.

Konie i koniarze. Mówiąc o handlu końmi nie podobna oprzeć się przekonaniu, że w znakomitej części ogólnej liczby kontraktów kupna sprzedaży zachodzi... pewna niedokładność w przedstawieniu zalet u jednego, zaś niewiadomość o wadach u drugiego z zawierających kontrakta. Ta »n i e d o k ł a d n o ś ć« powinnaby niejednokrotnie błyszczeć przed forum sądowem — mimo to nadzwyczaj rzadko tam się jawi.

Dlaczego? — Oto znaczniejsza część potrzebujących i kupujących wyobraża sobie, że się na koniach doskonale z n a, a doznawszy skutków owej »niedokładności« niechętnie się przyznaje do popełnionego przez siebie błędu. Obawiają się ci ludzie wątpliwego — ze względu na ogromnie trudne wykazanie, kiedy wada u konia powstała, przed, czy po kupnie — wyniku sporu, a w razie przegranej, nałożonych kosztów sądowych, a co najważniejsze — śmieszności. A zresztą sprzeda sąsiad sąsiadowi konia z wadami, to przecież sąsiad sąsiada »po sądach nie będzie włóczył«. Takie przekonania istnieją i na razie rady na to nie ma.

Zapewne, że należałoby przy kupnie konia prosić o pomoc np. znajomego weterynarza, oficera kawaleryi lub zawodowego koniarza — jeżeli jednak kto, zbyt ufny w swe wiadomości, dał się wystrychnąć na dudka, to mu po kupnie, żaden profesor weterynaryi nie wytłomaczy, jak mu sprzedający konia oczy zamydlił.

Sprzedaż konia, to rzecz nie łatwa, a ogromnie na znajomości ludzi oparta. Sprzedawca konia musi być psychologiem i fizyonomistą — wiedzą o tem dobrze wytrawni koniarze, którzy pozbywają często szkapy za drogie pieniądze, opierając swój interes więcej na znajomości l u d z i niż k o n i.

Taki koniarz obserwuje amatora na swego konia, bada cel kupna, słabostki i nieznajomość rzeczy nabywcy, pochlebia mu, aż go w końcu tak zagada, tak zatumani, że mu wpakuje konia za cenę przerażająco wysoką.

Charakterystycznym jest istniejący swojego czasu (1727 r.) w Szwecyi, a przez cesarza Józefa II-go dnia 9 października 1783 wydany zakaz, mocą którego nie wolno było Cyganom trudnić się handlem koni, nie dlatego, że przy tem używali podłych (infame) środków, lecz ponieważ przez paplanie, przysięganie i zapewnianie wprowadzali w błąd nabywców. Tak więc zdawna już zadokumentowano, że blaga, a raczej poprostu kłamstwo (nie ulegające do dziś dnia karze sądowej) jest ważnym czynnikiem przy sprzedaży konia.

Prócz kłamstwa jednak zwykłego, istnieje cały legion sposobów i sposobików na kupujących konie.

Zawodowy koniarz umie zawsze prawie ustawić konia w najkorzystniejszej pozycyi, wyzyskać kolor derki, kształt chomonta wogóle kształt rzemieni, nawet tło ściany, na którem konia przeprowadza, umie wyrzucić setki słów, z których jedno jest prawdą, a i to w połowie, umie wreszcie wypalaniem i trawieniem kwasami np. siarkowym, robić znaki na zębach, tej metryce konia, a nawet karmi go arsenem i tem wywołuje temperament. Niepodobna wyliczyć wszystkich sposobów, zaczynających się od farbowania, podrabiania maści końskiej, sztucznego zakrywania błędów organicznych i chorób, a kończących się na używaniu pomocników, którzy niby to obcy sprzedawcy tumanią nabywcę.

Eska.

ALBUM NOWEGO SEJMU

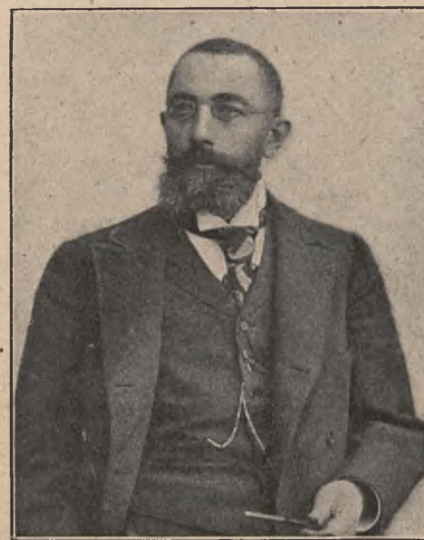
SERYA V.



Jan Trzecieski
Sanok. Wielka własność (kons.).



Dr Ferdynand Mais
Bochnia (demokr.)



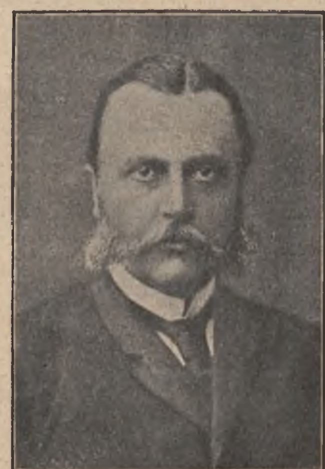
Władysław z Oleksowa Gniewosz
Złoczów. Wielka własność (kons.).



Emil Michałowski
Tarnopol (demokr.)



Franciszek Paszkowski
wielka własność krak. (kons.)



Edmund Lityński
Podhajce. Kurya wiejska (kons.).



Mikołaj Krzysztofowicz
Kołomyja. Wielka własność (kons.).



Dr Jan Bednarski
Nowy Targ (demokr.)



Jan Gnoiński
Cieszanów. Kurya wiejska.

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. W Drukarni »Czasu« w Krakowie.